665

BARBARA KRAFFTÓWNA

Wykonałam skok olimpijski

BARBARA KRAFFTÓWNA, KTÓRA OD KILKUNASTU JUŻ LAT DZIELI CZAS MIĘDZY DOMY W KALIFORNII I WARSZAWIE, ZAWITAŁA ZNÓW DO POLSKI. NA MIĘDZYNARODOWYM FESTIWALU GOMBROWICZOWSKIM W RADOMIU MOŻNA JĄ BYŁO PODZIWIAĆ W ROLI HRABINY W „BIESIADZIE U HRABINY KOTŁUBAJ" WEDŁUG GOMBROWICZA. BŁYSKOTLIWY, INTELIGENTNIE ZAGRANY, ŚWIETNIE PRZYJMOWANY SPEKTAKL – W TŁUMACZENIU NA ANGIELSKI I ADAPTACJI PROF. ANNY KRAJEWSKIEJ-WIECZOREK; W REŻYSERII MICHAELA HACKETTA – POWSTAŁ NA JEDNEJ ZE SCEN W LOS ANGELES. AMERYKAŃSKĄ „BIESIADĘ..." MIELI RÓWNIEŻ OKAZJĘ PODZIWIAĆ WIDZOWIE W KRAKOWIE, ŁODZI I WARSZAWIE.

– To dla nas wielka satysfakcja, że mamy takie zasoby wspaniałej literatury, którą możemy ofiarować światu – mówi aktorka.

W Los Angeles jest 300 scen. Statystycznie rzecz ujmując, miejscowy krytyk teatralny ma możliwość przyjrzeć się pracy każdej z nich najwyżej raz w roku.

– Ilość nie przechodzi w jakość. Bogaty narzeczony może wynająć dla swojej wybranki salę teatralną powiedzmy na miesiąc za określoną sumę dolarów. I taka panienka gra – pożal się Boże – w jakiejś sztuce. Teatr jest wynajęty, bilety są sprzedawane. Nieważne ile osób przyjdzie, bo sala i tak jest opłacona. Oczywiście są też zespoły o niezwykle odważnych, zaskakujących świat pomysłach.

Polskich widzów zaskoczyła natomiast przed 14 laty decyzja aktorki, by za oceanem grać po angielsku rolę Matki w sztuce Witkacego. I to bez znajomości języka...

– Można powiedzieć, że wykonałam skok olimpijski. Propozycja była irracjonalna i spadła na mnie jak z nieba. Może mi to, gdzieś tam w górze, załatwiają Witkacy z Gombrowiczem? Trudno było odmówić, bo człowiek może się przecież nauczyć dźwięków. Podobnie jak śpiewacy, którzy wykonują potężne partie operowe w nie znanych sobie językach. Dzięki muzyce można jednak iść „po dźwięku", co jest dużo łatwiejsze niż w samej mowie. Teraz na tyle już się nauczyłam angielskiego, że nietrudno mi się poruszać w codzienności. To nadzwyczajna ulga rozumieć, czytać i pisać w obcym języku. Na scenie podlega on jednak precyzyjnej, warsztatowej pracy – nie kończącym się ćwiczeniom nad wymową, dźwiękiem, dykcją.

W roli Hrabiny Kotłubaj FOT. ARCHIWUM TEATRU MAŁEGO

Każdy język ma swój określony rytm i czas. Reżyser „Biesiady..." Michael Hackett – znany z wystawionych przed kilku laty „Metamorfoz" wg Owidiusza i „Upadłych aniołów" w Teatrze Dramatycznym oraz „Amerykanina w Warszawie" wg braci Geshwinów w Teatrze Studio – zwraca na słowo niezwykłą uwagę.

– Jest reżyserem-dyrygentem – stwierdza Barbara Krafftówna. – Kieruje nie tyle aktorami i ich tekstem, ile dźwiękami. Jego spektakle – a grałam też u niego w „Hipolitusie" Seneki – są niezwykle utanecznione. Każde słowo ma swój poziom, nutkę, rejestr. I musimy się dostosować do tego rejestru. Reżyser pilnuje – ustawia nas w jakiejś oktawie i wiadomo, których dźwięków należy się trzymać. Jeśli zachodzi konieczność, przed spektaklem są ćwiczenia. Przynosi to, przynajmniej mnie, wielką satysfakcję warsztatową.

Aktorka ubolewa natomiast nad katastrofalnym stanem mowy Polaków.

– Mówimy bardzo brzydko. W zasadzie bełkoczemy. Barwy naszej mowy potocznej zostały zniszczone, modulacja głosu zanikła. Występuje jeszcze tylko w naszym zawodzie. Przed 30 prawie laty widziałam „Hamleta" w wykonaniu angielskiego teatru ze wspaniałym Derekiem Jacobim w roli głównej. Nie znałam jeszcze języka, tylko sztukę. Wiedziałam, o czym jest mowa w poszczególnych scenach. A oni mówili, jakby im z ust wypadały perły. Dźwięk, melodia, modulacja, dykcja, żadna literka nie zatarta. Coś wspaniałego. Właściwą wymowę różnych języków kultywują aktorzy. Na scenie. Dlatego teatr – w Polsce, czy gdziekolwiek na świecie – nigdy nie zginie. To jest niemożliwe. Sztuka teatru jest i będzie ludziom potrzebna.

W podejściu do pracy scenicznej amerykańscy artyści dystansują jednakże naszych:

– Amerykanie są entuzjastycznie nastawieni do pracy. Na scenie nigdy nie da się zauważyć po nich zmęczenia. Przedziwne, bo każdy z nich ma zazwyczaj dwa światy: sceniczny oraz rzeczywisty – kompletnie inny od zawodu artystycznego. Będąc aktorami, prowadzą równocześnie jakieś biura, agencje, biznesy. Genialnie umieją przełączać swą jaźń i do pracy twórczej podchodzą niezwykle spontanicznie. W Polsce zdarza się tak w zupełnie wyjątkowych przypadkach, przy dobranym zespole, o jednakowych umiejętnościach i wrażliwościach. Niekiedy taki zapał można jeszcze znaleźć wśród młodzieży. Na ogół jesteśmy jednak stonowani. A zapaleńców skutecznie wyhamowują reżyserzy: „na razie nie graj, przygotuj się, najpierw będziesz mówić, a dopiero potem grać". Nie istnieje też u nas gotowość do pracy. Wszystko się rodzi mozolnie, powoli rozwija i dochodzi, albo nie, do efektu. W Ameryce szuka się inaczej. Aktor przychodzi i... gra. Wystarczy mu kilka uwag. Oni naprawdę są zawsze gotowi. Wynika to zarówno z głodu sztuki, jak i z olbrzymiej konkurencji.

Kryzysu w polskim teatrze aktorka mimo wszystko nie dostrzega.

– Po wojnie mieliśmy do czynienia z eksplozją talentów – z armią wspaniałych, fenomenalnych artystów sceny. To pokolenie, które już się wykruszyło, wychowało nam wspaniałą publiczność. Udręczoną w tej chwili bardzo miałkimi propozycjami telewizyjnymi. Dlatego gdziekolwiek odbywa się jakaś impreza artystyczna, sale są wypełnione. Ludzie cieszą się wszystkim, co dostają. Ale powinno się rozszerzyć asortyment propozycji. Każde pokolenie sięga po klasykę. I dobrze, bo to nieodzowne. Niestety, nasza współczesność, mimo iż tyle się dzieje, jest w teatrze reprezentowana bardzo ubogo.

JANUSZ R. KOWALCZYK